

KREW WOJOWNIKÓW

TOM I

UCIEKINIER

*Tym wszystkim, których ciekawość świata, żądza przygód i
żądza wyzwań pchnęły na szlaki świata.*

Szlaki, które okazały się dalsze, niż myśleli.

KORONA POLSKA

1499-1519

Początek roku 1519

Tego dnia ostry mróz skuł lodem ziemię, wodę i drzewa. Białe słońce czasem tylko wychodziło zza chmur. Wiatr szumiał głucho wśród puszczy, pod jego naporem chygotały się wielkie drzewa, z gałęziami ciężkimi od czap śniegu. Krajobraz, mimo że ponury, był na swój sposób piękny i magiczny. Lecz jego magia i piękno kończyły się tam, gdzie zaczynał się plac niewielkiej wioski zwanej Polanką.

Jeszcze kilka godzin wcześniej Polanka była cicha i spokojna, zespolona z zimowym czasem tej krainy. Ale nagle na gościńcu zaroilo się od sylwetek jeźdźców i pieszych. Buty i końskie kopyta z trzaskiem wbijały się w śnieżną skorupę. Zbrojni mężczyźni i dowodzący nimi dostojnicy zajęli Polankę. Trochę później, gdy w okolicy rozniosła się już wieść o nadchodzącym wydarzeniu, do wioski zaczęły się schodzić liczne grupy ciekawskich.

A teraz ciżba ludzka zgromadzona wokół placu kościelnego zlorzczyła, spluwała flegmą, chuchała na zgrabiałe dłonie. Zebrali się chłopci i szlachcice z sąsiednich wsi i majątków, z okolic, gdzie rzadko działo się cokolwiek doniosłego czy dramatycznego. Ten dzień jednak mieli zapamiętać na długo – miał się odbyć sąd, a potem egzekucja mordercy.

Bandyta kilka dni wcześniej zabił pod Lublinem pewnego starostę. Po dokonaniu zbrodni uciekał przez lasy. Niespełna dziesięć mil¹ od miejsca mordu schwytali go żołnierze i spętanego łykami sprowadzili do najbliższej wioski, którą była Polanka. Na miejsce pospiesznie przybył orszak pana Turańskiego, magnata, który zarządził pościg. Mimo panującego mrozu i trudnych do przebycia szlaków pan Turański zarządził, że sąd nad złoczyńcą ma się odbyć jak najszybciej i tu, na miejscu. Odrzucił pomysł biskupa, aby mordercę sprowadzić do Lublina, gdzie dokonano zbrodni, choć tam były odpowiednie warunki do sądenia, wieża i kat.

– Szkoda czasu na dyrdymały, panowie. Tę sprawę trzeba zakończyć szybko i bez zwłoki – stwierdził magnat.

Tak też się stało.

Gdy wszystko było gotowe, sekretarz dał znak żołnierzom, a tłum uciszył się. Wszyscy ciekawscy stanęli w skupieniu. Ludzi zgromadziło się wielu, ponad setka. Większość stanowili podpici chłopci o zaciętych twarzach wiecznych cierpiętników. Jak zawsze gniewni, przeciwni wszystkim i wszystkiemu poza swą rodziną, ale ciekawscy, gdy na ich oczach miały się rozgrywać sprawy wielkich panów.

¹ W XVI wieku mila polska była odpowiednikiem dzisiejszych 7-8 kilometrów.

Obok chłopstwa stali prości szlachcice z tych okolic, zwani szaraczkami albo zagrodowymi, gdyż poza tytułem złożonym w skarbczyku, mieczem u pasa i posiadaniem konia nie różnili się ani obyczajem, ani majątnością od zwykłego chłopstwa. Co prawda znaczna część z nich uważała się za potomków wielkich rycerzy, ale w istocie rzadko który naprawdę uczestniczył w jakiegokolwiek wojnie. Mocni byli w słowach, dzielni w grupie, a gdy popili jałowcówki – o tak, wtedy mogli walczyć z całym światem. Z natury zawistni i zazdrośni, gdy zapominali czasem o swej biedzie, potrafili okazywać wielkie serce. Spędzali swoje życie, doglądając zbiorów na polach, wiecznie snuli plany, które nigdy nie miały zostać spełnione, a od święta – przypasywali miecz, wsiadali na konia i jechali uczestniczyć w mniejszej i większej polityce na sejmikach.

Wokół placu stali żołnierze pana Turańskiego. Odziani w skórzane kubraki i stalowe hełmy, wszyscy jak jeden zacięci i dumni. To, że służyli znanemu magnatowi, dawało im poczucie wyższości nad kmiotkami z prowincji. Z kolei lokalni szlachcice to ich mieli za nic, bo człowiek na służbie to zawsze sługa, a oni przecież byli panami. Drobnymi, bo drobnymi, ale na swoim. Okazywali żołnierzom chłodną wyniosłość. A żołnierze pozostawali niewzruszeni, bo oni za to poznawali różne ziemie, bywali na zamkach wielkich władców, a czasem przychodziło im powalczyć z Tatarem albo z Rusinem. Służba ich była ciężka, lecz dawała dumę i odpowiednią zapłatę.

Na skraju wioskowego placu, u stóp wiekowego kamiennego kościoła, ustawiono długi stół. Zasiedli za nim panowie, o których każdy wyrażał się z szacunkiem i unізieniem.

Był tam biskup lubelski, gruby jegomość o łagodnej twarzy. Siedział znudzony, żalując, że dał się magnatowi Turańskiemu namówić na tę zimową eskapadę. Brzydziły go wszelkie sprawy związane z przemocą, męczyły niewygody i zimno. Tęsknił za pałacykiem biskupim, dobrym jedzeniem i ciepłym piecem. Mało go interesował proces, który miał obserwować.

Po drugiej stronie stołu siedział sekretarz królewski z Krakowa, młody człowiek odziany elegancko i wielkopańsko. Spod futrzanej czapy widać było zadbaną czarną brodę i czujnie rozglądające się oczy. Był jedynym w tym otoczeniu uczonym w piśmie i w zasadach prawa, napuszył się więc swoim dostojeństwem, z namaszczeniem naszykował kodeksy i inkaust i usiadł z piórem w dłoni, czekając na rozpoczęcie indukty².

A pośrodku zasiadł sam pan Turański, najważniejszy ze zgromadzonych. Chyba nikt z obecnych w Polance nie miał pojęcia, że to on jedną drobną decyzją podjętą dawno temu zapoczątkował serię wydarzeń, która dziś doprowadziła ich w to miejsce. Teraz miał wydać wyrok za zbrodnię, której istota i powód mało kogo obchodziły. Maluczcy spoglądali na niego z mieszaniną ciekawości i trwogi. Był zamyślony i gniewny, jak na magnata przystało. Odziany we wspaniałą płaszcz i czapę z bobra, twarz miał nieprzeniknioną, starczą, ściągniętą bólem. Życie nauczyło Turańskiego ponurych zasad i rozmiłowało w poczuciu władzy. Nie zamierzał być litościwym tym bardziej, że zbrodnia, której się dopuszczono, dotyczyła osobiście też jego samego i jego interesów. Na prowincjach Korony mówiono o nim, że jest tak

² indukta – określenie rozprawy sądowej w dawnej polszczyźnie.

chciwy, że wyszarpie ostatnią monetę od dłużnika i wytoczy ostatnią kroplę krwi pańszczyźnianego chłopca.

Cyryl Turański zaczynał swą drogę do potęgi, posiadając niewiele: skromny zamek pod Lidą i kilkadziesiąt łanów urodzajnej ziemi. Rodzina Turańskich była mieszana, polsko-litewska, i przez długi czas ani jeden naród, ani drugi nie uznawał jej za swoich. Turańscy tradycyjnie wybierali na karierę wojsko książęce lub stan duchowny. Młody Cyryl nie miał jednak cierpliwości do studiowania świętych ksiąg ani predyspozycji do życia wojskowego. Od dzieciństwa doskwierały mu silne gorączki i bóle reumatyczne, nie nadawał się na wojenne wyprawy. Z natury wolał spędzać czas na dworach i zamkach, miejscach, gdzie wszystko podlegało określonemu ceremoniałowi i ustalonym regułom, gdzie mógł przyglądać się decyzjom władców i sposobom rządzenia państwem. Uzyskał pozycję urzędnika królewskiego na zamku księcia Litwy i tam przez szereg lat zajmował się buchalterią i rozliczaniem danin.

Wojownikiem był za to jego brat, Władysław. Prowadził on liczne wyprawy wojenne na Ruś, a jego imię ściągało rzesze rycerzy z Litwy i Korony. Władysław był zapalczywy, odważny do przesady i nikogo się nie bał. Stawał pierwszy do pojedynku, do bitwy i najazdu, zawsze z mieczem w garści i dzielnością w sercu. Jego czyny rozślawiały nazwisko Turańskich i dzięki niemu zaczęli być rodziną poważaną przez dwór królewski w Krakowie. Władysław Turański, gdyby przeżył wystarczająco długo, mógłby pewnego dnia zostać nowym królem, jak wielu mu przepowiadało. Ale tak się nie stało. Zginął w bitwie pod Kijowem, gdzie dosięgła go strzała tatarskiego łucznika. Rozwścieczeni utratą dowódcy rycerze uderzyli pełnymi siłami na wroga, rozbijając go, ale potem

nie wiedzieli, co począć, i po prostu zawrócili do Korony. Kolejne okupione krwią zwycięstwo zakończyło się zmarnowaną szansą.

Turańscy pochowali brata z wielkimi honorami, a król w podziękę za wierną służbę Władysława mianował jego brata Cyryla zarządcą licznych dóbr królewskich na Litwie. Na krakowskim zamku szeptano, że Cyryl królewską decyzję wsparł mieszkami złota przekazanymi kilku wpływowym posłom, a śmierć brata wykorzystał instrumentalnie. Zwolennicy Turańskiego zbywali jednak te insynuacje jako rozpuszczane przez zazdrosną szlachtę. Jako zarządca królewskich Turański w krótkim czasie zdobył okazały majątek. Tereny, które dostał pod swoją pieczę, od wielu lat były użytkowane przez miejscową szlachtę, która korzystając z tego, że władza królewska była daleko, nie płaciła za nie danin. Pan Turański szybko zaprowadził porządek. Bez skrupułów wysyłał na sporne ziemie oddziały wojska z sekretarzem królewskim i sędzią, którzy grozili konfiskatą majątków i skazaniem na infamię³. Ci szlachcice, którzy mieli kontakty, aby dogadać się z Turańskim, zaczęli płacić daniny i mogli zachować majątki. Ci, którzy się sprzeciwiali, byli wywłaszczani. Zbuntowani szlachcice, widząc nadchodzące wojsko i słysząc o groźbie infamii, od razu pokornie. Oczywiście potem, po cichu, ślali listy i wszczynali procesy w Krakowie o to, że magnat nadużywa swojej władzy. Ale z żadnego z tych procesów nic nie wyszło. Tak samo jak z buntów czynionych na sejmikach, które zaczynały się wzywaniem do broni, a kończyły jak zwykle na krzykach, pijaństwie, a potem rozjechaniu się do domów. Turański hojnie opłacał swoich

³ infamia – kara wygnania.

popleczników na dworze, a król przymykał oczy na jego chciwość i gwałtowne metody działania. Lata mijały, a siła Turańskiego wciąż wzrastała. Za pieniądze króla wysyłał drobnych szlachciców na wyprawy wojenne na Ruś. Szlachcice zatrzymywali łupy, a on ziemię, którą zasiedlał i z której potem osiągał okazałe dochody z danin. Chętnie pomagał też szlachcicom, którzy zwracali się do niego o pomoc. Potem najczęściej wpędzał ich w długi nie do spłacenia i przejmował ich majątki. Wszystko w zgodzie z prawem i zagwarantowane siłą jego wojska.

W Krakowie, przyjmowany na dworze królewskim z wielkimi honorami, podtrzymywał swój wizerunek dobrego pana i skutecznego zarządcy. Bogacił się powoli, ale stale – i ciągle powiększał swoje terytorium. Budował sieć kontaktów z innymi magnackimi rodzinami i prowadził z nimi wspólne przedsięwzięcia. Umacniał swoją władzę i choć formalnie był tylko zarządcą dóbr królewskich, po cichu i w ciągu lat zamienił się w jednego z najpotężniejszych ludzi w Koronie Polskiej. Umiał sobie podporządkować zarówno zagrodową szlachtę, jak i urzędników królewskich i proboszczów. Mistrzowsko opanował sztukę zakulisowego wpływu na sytuację w królestwie opanowanym przez chaos i sobiepaństwo. Miał magnatów, z którymi tworzyli zgraną grupę wspólnych interesów, dzieląc się nawzajem koneksjami, złotem i wojskiem – tymi trzema filarami, na których opiera się realna władza.

Mówiło się, że mimo zaawansowanego wieku Turański nie traci rezonu. Istotnie, choć postarzał się, a choroba reumatyczna powykręcała mu palce i zamieniała każdy dzień w bezustanną torturę bólu, on wciąż działał. Wyciskał daniny ze szlachty i

pańszczyznę z chłopów, przejmował i kupował nowe ziemie, skrupulatnie rozliczał swoich podwładnych. Członkowie jego rodziny wiedzieli, że tylko ciągłe działanie sprawiało, że Turański mógł zapomnieć o chorobie toczącej jego ciało.

Tego wieczora pan Turański był w mocno gniewnym humorze. Jeszcze kilka dni wcześniej siedział w swoim pałacu przy ciepłym kominku i dobrej strawie w towarzystwie przybyłego z Krakowa sekretarza oraz lokalnego biskupa i omawiali sprawy urzędowe. Czekali jeszcze na przybycie starosty Świąderskiego, z którym mieli podpisać kilka istotnych dokumentów. Grzali się przy kominku i czekali, a namiestnik opowiadał wszelkie mniej i bardziej ważne historie z Krakowa. Narzekał na wybuchową włoską królową, która pchała się do rządzenia państwem bardziej niż sam król Zygmunt. Wprowadzała na dworze włoskie obyczaje i zmuszała służbę do ich kultywowania. A nawet dążyła do tego, by osobiście ściągać daniny z litewskich królewszczyzn.

– Król Zygmunt chyba przez czarta został opętany, by brać za żonę kolejną cudzoziemkę – narzekał namiestnik. – Ta kobieta ledwie okrzepła na dworze, a już zaczyna przewracać wszystkie porządki do góry nogami.

– Trzeba napuścić na nią szlachtę. Tych wszystkich szaraków, którzy z natury nie ufają niczemu, co cudzoziemskie. Niech się król i królowa biorą za łby ze szlachecką hołotą, a my tymczasem będziemy nasze sprawy prowadzić w spokoju – pouczał Turański, który od dawna stosował metodę skłócania drobnych rodów, aby nie mogły zjednoczyć się przeciwko niemu.

W pewnym momencie za oknami pałacu podniosły się krzyki. Chwilę później do komnaty wpadł zdyszany żołnierz.

– Panie wielmożny, straszna rzecz się stała! Na gościńcu niedaleko bramy miasta napadnięto pana Świąderskiego. Zabito go!

– Kto napadł?! – Turański nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Wiedział oczywiście, że Świąderski miał wielu zaprzysięgłych wrogów wśród miejscowej szlachty, ale przecież nikt o zdrowych zmysłach nie ośmieliłby się podnieść na niego ręki. Tym bardziej, że ostrożny i z natury nieufny Świąderski nie ruszał się nigdzie bez zbrojnej obstawy.

– Panie, ten szaleniec wyleciał z puszczy i ciał jak popadnie. Żołnierzy poranił, a starostę ugodził mieczem w serce.

– To był jeden człowiek?! Złapali go?

– Nie, panie! Ale zranili go i stracił konia. Uciekł do puszczy, tak mówią przybocznicy.

– Nie będzie trudno go złapać – stwierdził Turański. – Po samych śladach na śniegu go znajdziemy. Wywołaj do poszukiwań obie sotnie. Niech wezmą psy, pochodnie i najlepsze konie.

– Tak uczynimy, panie!

– Wiadomo, kto to był?

– Tak, panie. Jeden z żołnierzy go rozpoznał. To był młody Burzyński.

Turański zmarszczył się gniewnie, słysząc to nazwisko. Sprawa stała się jasna. Teraz najważniejsze było schwytać winnego i postawić go przed sądem.

Turański nie cierpiał podróżować w środku zimy, ale obowiązek tego wymagał. Zabrał ze sobą krakowskiego sekretarza i miejscowego biskupa, aby nadać tej sprawie pozór działań w imieniu króla. Opuścili pałacowe pielesze i wraz z dwoma setkami

żołnierzy wyruszyli w wędrówkę przez ośnieżone gościńce i skute lodem jeziora. Przed nimi pędziły co tchu konne i piesze oddziały, które tropiły zbiega i zawiadamiały o nim sołtysów wiosek i właścicieli majątków. Turański obiecał sto dukatów dla tego, kto pierwszy dopadnie mordercę. Dzięki takiej zachęcie żołnierze nie ociągali się.

Ale pościg mimo zaangażowania wielu ludzi przeciągał się. Zwiadowcy nieraz gubili ślad zbiega. A Turański z dnia na dzień coraz bardziej cierpiał. Podróże zawsze powodowały zaostrzenie ataków jego choroby. Przez noce spędzane na zameczkach i w dworach bełskiej szlachty prawie wcale nie spał, gnębiony przez gorączkę i bóle kości. Rankami, z bladą twarzą i zaciśniętymi gniewnie ustami, dosiadał konia i rozsyłał oddziały pościgowe.

O poranku trzeciego dnia trop urwał się przy rzece. Na drugim brzegu nie było śladów zbiega. Żołnierze jeździli daleko przez śniegi i lasy, chodzili z psami po całej okolicy, lecz bez rezultatu. Około południa wszyscy zaczęli tracić nadzieję. Żołnierze zaczęli mówić, że pewnie Burzyński w desperacji skoczył do rzeki i próbował w niej płynąć, co skończyło się jego utonięciem.

Ludzie byli wycieńczeni, konie na skraju sił. Biskup chciał zawracać, wymawiając się strachem przed wilkami. Sekretarz z Krakowa proponował dać sobie spokój z pościgiem i oddać sprawę do trybunału koronnego, aby ogłosili Burzyńskiego *in absentia Infamis*⁴.

⁴ Wyrok infamii wydawany w sytuacji niemożności postawienia oskarżonego przed sądem.

– Trybunał wyda wyrok, a potem tylko czekać na wyniki – tłumaczył magnatowi. – Prędzej czy później ktoś go schwyta lub zabije. W końcu jak długo można się kryć po lasach?

Turański, słysząc to, zgrzytał zębami ze złości. Wiedział bowiem, że trybunały zbierają się rzadko, obradują tygodniami i zanim ogłoszą wyrok, Burzyński na pewno będzie mógł dokonać jeszcze wiele niegodziwości.

Biskup skarżył się, że niepotrzebnie wyciągali go z Lublina.

– Zatargi między szlachcicami nie leżą w mojej odpowiedzialności. Moja rola na świecie to posługa Bogu i Kościołowi.

Turański na to zaczął wyliczać biskupowi wszystkie kościoły, kapliczki i klasztory, które w ciągu życia wspomagał hojnymi datkami, o dziesięcinie już nawet nie wspominając.

– To nie daje ci, panie, prawa, żeby nas gonić przez dzikie puszcze w środku srogiej zimy – narzekał sekretarz.

– A cóż to?! – krzyknął już rozgniewany nie na żarty Turański. – Tobie mam, panie, przypomnieć, ile twoja rodzina mi zawdzięcza? I teraz taka jest wasza wdzięczność, że nie chcesz mi pomóc, chociaż cierpię niewygodę i zimno tak samo jak wy?

Kłótnię przerwał coraz bliższy tętent końskich kopyt. Jakiś jeździec pędził do nich przez ośnieżone pola, krzycząc: „Panie Turański, panie Turański!”. Był to posłaniec, który przyniósł wspaniałą wieść: mieszkańcy rybackiej osady w dole rzeki schwytali uciekiniera.

Turański nie tracił czasu. Orszak, popędzany przez jego ostre słowa, jechał brzegiem rzeki przez dwie godziny, aż dotarł do kilku chałup i grupy wieśniaków, przed którymi leżał na śniegu

młody Burzyński. Nieruchomy, zsiniały z zimna, związany siecią i linami niczym dziki zwierz po polowaniu.

– Na brzegu rzeki go złapaliśmy, wielmożny panie. Podstępem go wzięliśmy – pochwalił się jeden z chłopów.

– I dobrze się sprawiliście – powiedział Turański. – Królewski sekretarz zaraz wam wypłaci po dukacie na głowę, w nagrodę.

– Ależ wielmożny panie, twoi żołnierze chodzili po wsiach i mówili, że sto dukatów jest płacone! – wykrzyknął chłop z goryczą.

Żołnierze spojrzeli na niego gniewnie i chwycili za miecze. Nie takim tonem może się zwracać chłop do pana.

Turański tylko się roześmiał.

– Widocznie żołnierze podle was okłamali. A złoty dukat to przecież godna zapłata – stwierdził i zawrócił konia.

Dwaj żołnierze chwycili związanego mężczyznę i stękając z wysiłku, wtargali go na grzbiet jucznego konia i przywiązali powrozami. Krakowianin wypłacił chłopom po dukacie i podszedł do Turańskiego.

– Panie... ale przecież nie godzi się tak wlec szlachcica.

Turański spojrzał na niego bacznie.

– Nie godzi się? Nie godzi się, abyś ty, panie, rozpowiadał o pewnych szczegółach tej sprawy w Krakowie. Nie zważaj na to, kim jest ten człowiek, a na to, jaką straszną zbrodnię popełnił. Zdaj też sobie sprawę, że wszyscy pozostali Burzyńscy to obecnie infamisi. Nie obowiązują ich już żadne przywileje.

A teraz Turański siedział za szerokim stołem ustawionym na kościelnym placu wioski. Po lewicy miał sekretarza, po prawicy biskupa, a przed sobą tłum szlachciurów, żołnierzy i chłopów. Dostrzegł tam nawet jegomości, którzy pojмали Burzyńskiego. Stali w pierwszym rzędzie gapiów i nie wyglądali na niezadowolonych z wynagrodzenia. Śmiali się i przechwalali wkoło siebie, zapewne opowiadając o swoim bohaterstwie. Do tego zdrowo popijali jałowcówkę z gąsiorków, które zapewne napelnili u karczmarza, gdy tylko przybyli do wsi. „Gdyby dać takim sto dukatów, piliby do końca świata i tyle by było z tego pożytku” – pomyślał Turański.

– Z drogi, z drogi! – rozległy się okrzyki.

Żołnierze rozpędzali gapiów, aby zrobić przejście na plac. Prowadzili więźnia.

Turański westchnął. Miał przemożną ochotę, aby szybko zakończyć sprawę. Sekretarz jednak uparł się, że wszystko musi być przeprowadzone zgodnie z kodeksami prawnymi, ustanowionymi przez króla Jana Olbrachta około trzydziestu lat wcześniej.

– Nie chodzi wszak o byle opryszka. Oskarżony to szlachcic.

– Dobrze – westchnął Turański – ale zważaj, panie, że mój czas jest cenny, a w Lublinie czekają nas ważne zadania.

Turański nikomu spoza rodziny na przyznawał się do cierpień, których przysparzała mu choroba. Wiedział bowiem, że w świecie władzy każda słabość, która staje się znana, może być wykorzystana przez wrogów.

– Panie Turański – rzekł sekretarz – musisz powściągnąć emocje. Po stwierdzeniu winy będziesz władny, aby wydać wyrok,

ale oskarżonemu przysługuje odwołanie do trybunału koronnego. Tak stanowi prawo.

– Za dużo się żeś, panie, ksiąg naczytał i umysł masz od tego zamulony – odparł ze złością Turański. – Prawo, prawo, jakie prawo? W całej Koronie tylko bezprawie rządzi, najazdy i zajazdy, pijaństwo i bijatyka! Prawo zgodne z królewskimi kodeksami może i działa w Krakowie, ale nie tutaj, na zapadłej prowincji. Gdybym nie wysłał swoich własnych żołnierzy, to nigdy by tego łotra nie złapano. On jest winny – ja to wiem, biskup to wie, wszyscy ci ludzie na placu to wiedzą i ty też to, panie, wiesz. Skoro winny, to musi zostać ukarany i zgładzony. Oto jest prawo, a nie te wasze kodeksy, trybunały i inne głupotki. Taka jest moja wola i żądam, byś ją, panie, uszanował.

– Rozumiem, panie, twój pogląd, ale do tej pory nie miałem do czynienia z taką sprawą. W moich okolicach do zbrojnych rozpraw tego rodzaju prawie nigdy nie dochodzi. Tym bardziej muszę więc postępować zgodnie z kodeksem. W dodatku słyszałem od biskupa, że Burzyńscy to znana i poważana rodzina mazowiecka, której ziemie nadał sam król Jagiełło, a służyli oni już pod Chrobrym, nabywając godności...

– Zaiste, zaiste... – potwierdził w zamyśleniu biskup.

– Kiedy to było... – Turański lekceważąco machnął ręką. – Znam ja i słyszałem o Burzyńskich, jeszcze gdy żyłem na Litwie. Banda awanturników od wielu pokoleń. Siedzących na splechotku kiepskiej ziemi i jeżdżący na każdą wojnę, jaka się nadarzy, dla zdobycia łupów.

– W istocie przypominam sobie, że świętej pamięci Franciszek Burzyński, ojciec tego, którego będziemy dziś sądzić,

był towarzyszem twego brata Władysława w wyprawie na Kijów
– rzekł biskup.

– Cóż z tego? – zapytał Turański.

– Ano nic, jeno mi się przypomniało.

– A więc i nasza świątobliwość zamierza bronić tego bandyty? – zdziwił się magnat.

Biskup uniósł ręce w górę i się uśmiechnął.

– Tego nie powiedziałem. Stanie się wola boska.

– Świat rządzi się określonymi prawidłami – powiedział Turański, patrząc przez plac. – Kto te prawidła łamie, ten zasługuje na karę. Nie ma wtedy miejsca, aby oglądać się na kwestie poboczne. Nie można pobłażać ani wybaczać, skoro wina jest oczywista.

Odwrócił się do sekretarza, nachylił się do niego i wyszeptał:

– Możesz się, panie, nie zgadzać z moimi sposobami załatwiania spraw, ale wiedz, że to dzięki nim jestem teraz tym, kim jestem. Twoje zadanie jest takie, aby dopilnować, by wszystko było spisane w prawie zgodnie z królewskimi kodeksami. A potem, gdy sobie wrócisz do Krakowa, na ulice wielkiego miasta, do pałacowych spraw i królewskich uczt, do pięknych komnat i pomiędzy łagodnych dworzan, gdy siądziesz i spożyjesz pysznego kapłona w korzennym sosie i odpoczniesz od tej dziczy, która panuje na prowincji, wtedy zastanowisz się nad tym wszystkim i stwierdzisz, że moja decyzja była słuszna.

Sekretarz zamilkł, zaczął przygotowywać kałamarz i układać w stosik karty pergaminu. Choć wiedział, że Turański musiał mieć w tej sprawie osobisty interes, to nie był na tyle głupi, żeby mu się przeciwstawiać.

Tłum zaszemrał i zwrócił oczy ku wprowadzanemu więźniowi. Morderca kroczył środkiem, z rękami związanymi za plecami, dumnie wyprostowany, a dwóch rostrych żołnierzy szło za nim. Zmrożony śnieg zgrzytał pod podeszwami ich butów.

Mężczyzna był wysoki i krzepko zbudowany. Poruszał się szybko, kolebiąc ciałem z jakąś zwierzęcą zwinnością. Był bardzo młody, na pewno nie ukończył jeszcze dwudziestu lat. Świeże rany i siniaki powstałe, gdy go schwymano, były liczne i dobrze widoczne, ale zdawał się nimi nie przejmować.

Zwracały uwagę jego oczy – jasne, pełne życia, spoglądające groźnie wkoło. Mówiło się o takich oczach, że rzucają gromy. Na nogach miał czarne jeździeckie buty z mosiężnymi okuciami, a odziany był tylko w ciemną jedwabną koszulę – bo żołnierze po schwyтaniu ściągnęli z niego zbroję i ciepły płaszcz z wyszytym herbem.

Gdy zbliżył się do stołu sędziów, wszystkich zirytowała jego postawa. Wydawało się, że promieniuje dumą i pewnością siebie. Wszyscy spodziewali się załamanego, skruszonego łotrzyka, który będzie pokornie błagał o litościwy wyrok. Młodzieniec tymczasem zachowywał się z niemal książęcą wyniosłością. Staął i utkwiał swoje spojrzenie w panu Turańskim.

Na placu zaległa cisza i wszyscy znieruchomieli. W tej chwili jakby cały świat zatrzymał się w oczekiwaniu. Tylko obłoczki pary unosiły się z nozdrzy i ust.

– Oskarżony! Jak ci na imię? – zapytał Turański.

– Jam jest Jarosław Jan Burzyński – oświadczył hardo młodzieniec.

– Czy przyznajesz się, panie Burzyński, do tego, że trzy dni temu pod Lublinem napadłeś i zamordowałeś starostę spod Płocka, pana Świąderskiego? Pamiętaj, że jeśli się nie przyznasz, czekają cię tortury, na których na pewno wyjawisz prawdę.

– Nie boję się waszych tortur – oświadczył Burzyński. – Ja zabiłem Świąderskiego i przysięgam wam, panowie, że gdybym mógł to zrobić jeszcze raz, to też bym to uczynił. Za wszystkie krzywdy, które starosta uczynił mojej rodzinie śmierć to i tak za mała kara!

– Panie Burzyński, odpowiadaj waść na pytania i daruj sobie te podłe komentarze – podniósł głos sekretarz królewski. – Twe motywy nie mają znaczenia, podług kodeksów będziemy oceniać tylko wagę czynu i nic innego.

Burzyński tylko zaśmiał się wzgardliwie.

– Gdy prawdziwi rycerze walczyli na wyprawach i ginęli za króla i Koronę, wy sobie w bezpiecznym Krakowie pisaliście te swoje kodeksy. Nie oczekujcie ode mnie szacunku dla swoich praw. Wiem, jak działają, i pluję na nie!

– Dość, bo każę cię zakneblować! – krzyknął Turański. – Modlić się teraz powinienes, bo wkrótce stanąć możesz przed obliczem Pana naszego, a nie dyrdymały opowiadać i fermentować.

Burzyński zamilkł, bo i tak nie miał już nic więcej do powiedzenia. Patrzył po twarzach żołnierzy, chłopów i szlachty. Narada sędziów była krótka, tym bardziej że zmierzchało już i zaczął dąć zimny wiatr, niosący płatki śniegu.

Chłopi obserwowali rozgrywającą się scenę ze spokojem, pociągając od czasu do czasu z gąsiorków.

– Co dostanie, gardło? – spytał sąsiada niski, wąsaty szlachciura.

– E tam, pewnie na wieżę trafi i tyle – odpowiedział puciołowaty młynarz. – Herbowi panowie to jedna brać, jeden drugiemu oka nie wykole.

– Szkoda sądy dla takiej sprawy urządzać, zaciukać go powinni na miejscu i dla wilków truchło zostawić – stwierdził jakiś ponury gospodarz w szykownym płaszczu. – Ja bym tak to rozwiązał. Po zbrodni by była zasłużona kara i tyle, a jak sąd angażują, to zawsze różnie może być – dodał. Przyjechał tu z sąsiedniej wsi, dwie mile dalej, żeby sąd na własne oczy zobaczyć, bo jeszcze żadnego w swoim życiu nie oglądał.

Żołnierze krzyknęli o ciszę, bo miał być ogłaszany wyrok. Widzowie wyciągali głowy, żeby nie uronić ani jednego słowa. Głos magnata rozbrzmiał wśród zabudowań wioski:

– Ja, Cyryl Turański, w imieniu i zastępstwie urzędu starosty powiadam, co następuje. Jarosława Burzyńskiego określam winnym mordy starosty Świąderskiego. Kara za ten czyn jest jasno określona przez kodeksy – skazuję winnego na infamię oraz karę śmierci przez powieszenie. Wyrok wykonany będzie jutro o świcie. Zabrać skazanego!

Burzyński znowu roześmiał się ze wzgardą, ale bez oporu dał się wyprowadzić żołnierzom.

W tłumie gapiów podniosły się głosy. Ktoś gwizdnął, a kilku krzyknęło: „Słusznie, wiwat!”.

– Szlachcica na sznur? Jakże to? Hańba! – zdenerwował się wąsaty szlachciura.

– Nie żadna hańba, jeno go przecie infamisem ogłosili. Takich się zawsze na sznur skazuje – pouczył go gospodarz w płaszczu.

– Ogłosili po to, żeby uwiesić. Przecież infamisé jeszcze nie był, jak mordował. Ścięcie mieczem to ja rozumiem, ale na sznur? – protestował wąsaty, ale otaczający go ludzie zaczęli go uciszać.

– Cichaj, dziadku, bo stary jesteś i dawne obyczaje pamiętasz, a król coraz to nowe prawa ustanawia i one są zawsze najważniejsze – powiedział gospodarz.

– A mnie się to nie podoba – stwierdził jeszcze inny szlachcic – i tym krakowskim panom nie ufam za grosz.

Kilku zaczęło go wyśmiewać, że źle słuchał, bo przecież tylko jeden z panów był z Krakowa, a pozostali z Lublina.

– A czemu tu protestować? Skoro zabił, to niech teraz sam zawiśnie – wyraził swoje zdanie puciołowaty młynarz.

– A skąd wiedzieć, jak to było i o co poszło? Byłeś tam, panie, widziałeś? – sarknął wąsacz.

– E tam, kogo te sprawy mazowieckie czy lubelskie obchodzą. Niech każdy się swoją gospodarką martwi – skwitował gospodarz w płaszczu i większość uczestniczących w dyskusji się z nim zgodziła.

Sąd się zakończył. Śnieg sypał z nieba i wkrótce wszyscy gapie się rozeszli. Jedni w drogę do swoich domów, inni do gospody obok młyna, która była już otwarta i zdążyła wypełnić się po brzegi żołnierzami, miejscową szlachtą i garstką chłopów. Tylu klientów w skromnym przybytku przypominającym raczej wielką zanedbaną stajnię młynarz nie miał jeszcze nigdy. Pachołkowie przywlekli z piwniczki zapasy beczek z miodem i piwem, a zadowolony właściciel naliczał podwójne ceny, w myślach licząc zysk. Już po chwili brzęczały miedziaki, panowie kłócili się o miejsce w kolejce, a w rogu sali ciekawy tłum słuchał przechwałek

trzech chłopów, którzy schwytali zbiega i teraz opowiadali o swoim bohaterstwie.

Kawalkada tuzina strażników wyprowadziła Burzyńskiego z placu. Za rogiem kościoła uderzył w nich lodowaty wichur.

– Naprzód! Szybciej! – pokrzykiwał konus w spiczastym hełmie.

O ile żołnierze jeszcze kilka chwil temu traktowali więźnia z pewną godnością spowodowaną jego szlacheckim stanem, o tyle teraz, po ogłoszeniu wyroku infamii, stracił on wszystkie prawa, cały majątek i jakąkolwiek możliwość łaski. A już o poranku miał stracić też życie. Turański zaraz po zakończeniu indukty wysłał kilku żołnierzy do wyszukania odpowiedniej gałęzi i przygotowania powrozu.

Za budynkiem kościoła znajdowała się ruina po dawnej kaplicy. Została z niej tylko kamienna kruchta, której otwory drzwiowe zamurowano i wprawiono odrzwia z drewnianych bali, aby służyła za składzik na beczki z żywnością na zimę. Teraz chłopci opróżnili wnętrze, aby wykorzystać je jako tymczasowe więzienie dla Burzyńskiego. Żołnierze wepchnęli skazanego do środka i zatrzasnęli wrota. Potem jeden z chłopów nasadził na obejmę belkę.

– Trzech wartowników do północy ma go pilnować, od północy do świtu następnych trzech! – rozkazał konus, gestem wybierając żołnierzy do wart. – Kto nie ma ciepłego kożucha, temu przyniosę z taboru, bo pewnie będzie śnieżyć przez całą noc.

Burzyński stał nieruchomo w ciemności celi. Czuł się dziwnie, jakby nie był sobą, jakby to wszystko, co się działo, dotyczyło kogoś innego. Ale uległ tylko chwilowemu złudzeniu. Był mokry od śniegu i szczekał zębami z zimna. Otaczał go lity mrok i zapach zgnilizny. Poczul się, jakby jeszcze za życia trafił do grobowej krypty. Po chwili, gdy wzrok nieco przyzwyczaił się do ciemności, zobaczył pod ścianą barłóg z wilgotnego siana, który zapewne miał mu służyć za łóżko. Znalazł też miskę z drewnianą łyżką i kilkoma garściami zimnej, nadpsutej kaszy. Powąchał ją i odłożył. Choć nie jadł niczego od kilku dni, nie zamierzał truć się tym paskudstwem. Uważnie zbadał odrzwia. Spróbował je delikatnie pchnąć, ale trzymały się mocno. Potem schylił się i spojrział przez wąską szparę na świat. W półmroku zobaczył postacie wartowników, strzechy kilku chałup i ciemną ścianę drzew w oddali. Puszcza. Ach, ileż by oddał, aby być tam teraz! Mimo że śnieg sypał z nieba, że wiatr dał niczym potępieńcza dusza, że zza drzew dobiegało wycie wilków, tam była wolność. Ale już nie dla niego ten owoc.

Zeskoczył na posadzkę. Zacisnął zęby i pięści. Koniec to rzecz naturalna, ale taka śmierć? Bez walki, bez miecza w ręku, bezwolnie jak baran w rzeźni? Ze śmiercią był przecież za pan brat. Trochę potyczek stoczył, sporo śmierci widział, kiedy padali bez życia dużo świetniejsi od niego. I jak godnie umierali! Żadnej trwogi, do końca wykonujący co do nich należy, jakby przygotowani na najgorsze, które jest przecież normalną częścią życia wojownika. Widział, że w słusznej walce śmierć nie boli.

Gdy przyjdą do niego o świcie, będzie się bronił. Nie zrobią z jego śmierci widowiska, to on zrobi im widowisko! Niech zabiją go pod tą kruchtą, ale niech na długo popamiętają, jak walczyli z

Burzyńskim. A i zostawi im trochę pamiątek, aby o tym dniu nie zapomnieli. Westchnął z goryczą. To wszystko bez sensu. Ci prości żołnierze nie są niczemu winni. To zwykli żołdacy, których przyjęto na służbę akurat u tego okrutnego pana. Słyszał wartowników po drugiej stronie wrót, jak drepcą nieszczęśni po śniegu, chcąc się nieco ogrzać, jak chrząkają i kaszlą.

Została mu tylko jedna noc życia. Jego ciało drżało z zimna, ale umysł był gorejący. Płonął z satysfakcji po dokonanej zemście, z wściekłości na bezdusznych sędziów, z buntu i niezgody na to, że tak się to wszystko miało zakończyć. Zaczął miotać się po wnętrzu, chodzić tam i z powrotem, myśli – na przemian te pełne gniewu i te niosące nadzieję – przelatywały przez jego umysł. „Nigdy się nie bój” – uczył go ojciec, gdy Jarosław był jeszcze chłopcem. „Nie bój się, bo strach i tak nie uchroni cię przed nieuniknionym. I nigdy nie pozwól, aby strach cię powstrzymywał przez tym, co słuszne. A gdy nadejdzie godzina końca, wyjdź jej na spotkanie z uśmiechem i otuchą, bo lepszy świat na ciebie czeka”.

Ach, kochany ojcze. Zrobiłem, co do mnie należało. Ale co byś teraz powiedział, widząc swojego syna w tej ciemnicy, czekającego na egzekucję? Znałem cię, ojcze, i wiem, że zapłakałbyś nad jego losem.

Przed oczyma zobaczył chwile swej ucieczki przez puszcę. Pędził biegiem, bez konia, przez śnieżne zaspę, wśród drzew o czarnych konarach, nasłuchując odgłosów pogoni. Psy ujadały, po gościńcu przechodziły zbrojne oddziały. I choć poruszał się szybko i nie zatrzymywał się, prześladowców było wielu i coraz bardziej się zbliżali. Przechodził po lodzie przez zamrożone rzeki i jeziora, przebijał się przez najgęstsze lasy, aby tam zgubić pogoń

albo chociaż ją opóźnić, aby musieli zejść z koni i szarpać się z nimi przez gęstwinię. Szedł głodny, wycieńczony, zmarznięty i obdarty, już tylko instynkt przetrwania pchał naprzód obolałe nogi. Nocami spał tylko chwilami, zakopując się w śniegu pod derką, czujny na każdy szelest, i ledwie trochę się zdrzemnął, już wstawał i ruszał dalej. To, że nocami wędrował, dawało mu nieco przewagi, ale w ciągu dnia siepacze nadrabiali stratę, bo oni byli wypoczęci i najedzeni, a on coraz bardziej opadał z sił.

Był już półprzytomny, gdy doczłapał się do brzegu rzeki. Jej brzegi skuwał lód, ale w środku nurtu rzeka szumiała czarnymi falami. Odkrył na brzegu przysypaną śniegiem łódkę. Zapewne w ciepłe miesiące służyła do przepływania na drugi brzeg, bo rzeka nawet teraz była rwąca i zapewne głęboka. Zgrabiałyimi od mrozu dłońmi wygrzebał łódkę i oczyścił ją ze śniegu. Pchał ją ostatkiem sił po zaspach, aż do wody, wsunął się na nią i pozwolił nieść ją prądowi. Nie miał wiosła i z przerażeniem odkrył, że fale kręciły łódkę w kółko, prawie ją wywracając, a rzeka niosła kawały lodu, które były co chwilę o kadłub. Gdy zносиło go na brzeg, odpychał się od niego rękami lub mieczem i dryfował dalej. Dłubanka przechylała się na boki i uderzała o brzegi, w każdej chwili grożąc wywrotką. Momentami pędził niczym na galopującym koniu, ale łódka coraz bardziej się kolebała, a fale robiły się coraz większe. Rzeka ryczała groźnie, lodowate wody chlupotały, krople pryskały mu w twarz. Naraz boczny prąd pchnął go na brzeg. Łódka z furją uderzyła w spiętrzone kry, które zmiażdżyły burtę. Rozległ się straszny trzask i kadłub przełamał się, po czym od razu zatonął. Burzyński spróbował zeskoczyć na brzeg, lecz ześlizgnął się po lodzie i wpadł po szyję do wody. Szarpnął się desperacko, złapał za głazy i nadludzkim wysiłkiem wciągnął ciało na brzeg. Nie

poczuł zimna, woda wydała się wręcz ciepła, ale wiedział, że to tylko złudzenie. Wkrótce przemoczone ubranie straci swoje właściwości i zamarźnie. Wskoczył na brzeg, padł na śnieg i przetoczył się po nim, aby ten wchłonał wodę. Potem podniósł się, ale już czuł, jak wszystkie kończyny drętwieją mu i sztywnieją z zimna. Zaklął wściekle i rozejrzał się. Wtedy dostrzegł, że nie jest sam. Trzech wieśniaków, przyodzianych w futra i czapy, obserwowało go z niewysokiej skarpy.

– Poratujcie mnie, dobrzy ludzie! – krzyknął do nich, unosząc rękę.

Stali, obserwując go w milczeniu przez dłuższy czas.

– Kim jesteś, panie? – zapytał w końcu jeden z nich.

– Jestem honorowym człowiekiem, który krzywdy wam nie uczyni, jeno hojno wynagrodzi za chrześcijańską pomoc – odpowiedział i zbliżył się do nich.

– Chodźmy – rzekł jeden.

W milczeniu szli wydeptaną ścieżką wiodącą od rzeki do kilku chałup o wielkich trzciniowych dachach. Wprowadzili go do ciemnego wnętrza zasnutego dymem paleniska. Siedziała tam niemłoda kobieta o potarganych włosach. Nie odpowiedziała na jego przywitanie. Wstała od ognia, pokazała mu miejsce i wyszła z chaty. Usiadł przy rozpalonym ogniu, wyciągając ku niemu trzęsące się od zimna ręce. Poczuł się błogo, zatracił świadomość sytuacji i czasu. Chłopi zostali przed chatą, rozmawiali o czymś przyciszonymi głosami. Po chwili jeden wszedł do środka i nalał do glinianej miseczki jakiejś substancji z wielkiej kadzi. Podał. Burzyński powąchał, potem spróbował trochę. Była to ciepła zupa z suszonych ryb. Wypił wszystko. Chłop nalał mu następną miseczkę. Burzyński od razu poczuł, że wracają mu siły. Zdjął

płaszcz, napierśnik i rozpiął pas, po czym rozwiesił je nad ogniem, by wyschły. Wytrząsnął z kieszonki w płaszczu kilka srebrnych monet.

– Dzięki wam za ratunek i gościnę – rzekł do chłopca. – Potrzebuję kupić konia pod wierzch. Dobrze zapłacę.

Chłop spojrzał dziwnie na monety, a potem na oblicze Burzyńskiego. Wzruszył ramionami.

– U nas koni nie ma – rzekł cicho – tu tylko prości rybacy.

– A w innych wsiach są jakie?

Chłop znowu długo się nad czymś zastanawiał. Potem w milczeniu wyszedł z chaty.

Burzyński czuł się nieswojo. Wiedział jednak, że dzięki podróży rzeką oddalił się znacznie od swoich prześladowców, i liczył na to, że przez jakiś czas pozostanie tu bezpieczny. Gdy tylko odzienie nieco przyschnie, wyruszy w dalszą drogę. Jeśli uda się zdobyć wierzchowca, to dobrze, a jeśli nie – trudno. Najważniejsze to znowu być w ruchu.

Posiedział jeszcze trochę przy ogniu. W pewnej chwili usłyszał jakiś głos. Jeden z chłopów, ten sam, który dał mu polewkę, szeptał coś od drzwi.

– Chodźże, panie... Jest tu taki jeden, który może sprzedać ci konia...

Wstał i skierował się na zewnątrz. Widział sylwetki chłopów stojących przed chatą. Gdy przekroczył próg, oślepiło go światło dnia. Zmrużył oczy i w tym momencie poczuł silne uderzenie w tył głowy. Zachwiał się oszołomiony, a chłopcy zarzucili na niego rybacką sieć i go przewrócili. Zakotłowało się wkoło niego, uderzył na oślep pięścią. Złapał kogoś za odzienie i pociągnął, ale ofiara wyrwała się. Znowu otrzymał cios w głowę, przed oczami

ujrzał snop iskier i zapadł w nieprzytomność. Trzech chłopów odłożyło pałki i z werwą zabrało się do wiązania Burzyńskiego linami. A teraz stał nieszczęsny w ciemnicy, bezsilnie zaciskał pięści i przeklinał wszystkich zdrajców i głupców.

Jeszcze przed świtem zbiorą się z pochodniami w dłoniach i przebudzą go. Wyjdzie im naprzeciw godnie i ze spokojem. Cóż z tego, że mogą odebrać mu życie i z chęcią to uczynią? Żadnymi siłami nie odbiorą mu dumy. Karząc go za zabicie niegodziwego człowieka, sami się splamią. Do diabła z nimi wszystkimi! Nie warto z nimi walczyć, nie warto próbować przemawiać im do sumień. Na to drugie pozostaną głusi, na to pierwsze – rzucą się na niego zgrają i zarzną jak świniaka.

Pokaże, jak potrafi umierać człowiek honoru. Z obojętnością i pogardą odda swoje życie. Spętają mu ręce łykami i być może nałożą kaptur na głowę, ale wtedy powie im, aby tego nie robili. Poprowadzą go pod strażą na skraj lasu, gdzie czekała będzie gałąź i mocna lina. Posadzą go na końskim grzbiecie, a jeźdźcy po bokach nasuną mu pętlę na gardło. Rozjadą się na boki, a jakiś obozowy ciura z ich taboru smagnie koński zad. I będą i panowie, i chłopstwo, i żołnierze oglądać w świetle pochodni, jak Burzyński dynda na linie do przodu i do tyłu, jak syczy, dusząc się, jak wierzga nogami niemogącymi znaleźć gruntu. Będą się sycić jego bezsilnością, obserwować, jak traci siły i jak jego ruchy stają się coraz mniej gwałtowne. Będzie bulgotał, oczy zajdą mu mgłą, ostatnim widokiem na tym świecie będą gałęzie drzew obsypane śnieżnymi czapami i blade niebo świtu.

Wyda ostatnie tchnienie, a wraz z nim jego dusza opuści ciało i odejdzie do krainy potępionych.

Przyboczni magnata Turańskiego zostawią jego ciało na linie, aby przez całą zimę wisiało i odstraszało wszystkich, którzy myślą o buncie. Kruki wydziobią oczy, a na wiosnę robactwo rozpełźnie się po truchle, sprawi, że stanie się ono opuchnięte i pękate, zacznie gnić, a potem się rozpadać. Chłopskie dzieci będą przychodzić w trwodze i oglądać to straszne coś, co było kiedyś człowiekiem, a potem będą uciekać z płaczem do swoich matek.

Będzie już wtedy wiosna, ptaki będą pięknie śpiewać w zaroślach, wieśniacy, radując się słońcem, ze śpiewem będą obsiewać pola. Życie będzie toczyło się dalej, tylko że już bez niego. I nikt nie będzie o nim pamiętał.

Odejdzie, nie dokonując niczego godnego uwagi na tym świecie. Świadomość tego to ból największy.